

U ŚWIĘTEJ BARBARY ZA WAZÓW

Jan Wielewicki, *Dziennik spraw domu zakonnego OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie 1630–639*, t. 5, opr. J. Poplatek, L. Grzebień, Wydawnictwo WAM, Kraków 1999 ss. 600.

Oddane w ręce historyków świadectwo życia religijnego, kulturalnego i politycznego czwartej dekady XVII w. jest — jak zaznaczono w pierwszym zdaniu Przedmowy — rzeczywiście niezwykle wartościowe. Tym bardziej, że wydany właśnie tom 5. *Dziennika* Wielewickiego zamyka wreszcie edycję cennego źródła. Wreszcie, gdyż tom 4. ukazał się równo sto lat temu.

Krakowski dom profesów przy kościele św. Barbary był najpoważniejszą placówką polskich jezuitów. Mieścił siedzibę prowincjała, gościł wiele znamienitych osób z kraju i zagranicy, był miejscem ważnych narad. Wielewicki żył nie tylko w Krakowie, co poszerzało liczbę źródeł informacji, jakie zebrał. Przyszły kronikarz kształcił się w kolegium jarosławskim, filozofię studiował w Poznaniu, teologię w Wilnie. Jako sekretarz prowincjała poznawał problemy kolegiów polskich i litewskich, nawiązywał mnóstwo kontaktów z ludźmi wpływowymi. Nauczał filozofii w Kaliszu, w Krakowie był w latach 1505–1609 kaznodzieją i spowiednikiem u św. Barbary. Jako superior w Toruniu potrafił nawiązać kontakt z protestantami, a w upowszechnianych broszurach informować o spornych problemach religijnych jasno i taktownie. Pracował jako superior w Przemyślu, rektor kolegium we Lwowie, a w latach 1619–1623 i 1629–1632 jako prepozyt domu krakow-

skiego u św. Barbary, dokąd — po pobycie w Lublinie — powrócił w 1634 r., skupiając się na kontynuowaniu *Diariusza*.

Nie jest to typowy dziennik, jaki prowadzono wówczas tradycyjnie we wszystkich domach jezuitów. *Diarium historicum* Wielewickiego, nazwane niesłusznie przez dotychczasowych wydawców *Dziennikiem*, obejmując lata 1578–1639, traktuje dokładnie o sprawach domu i kościoła św. Barbary, mniej szczegółowo o sprawach całej polskiej prowincji jezuitów. Nie ogranicza się jednak do tematyki zakonnej, przedstawiając wydarzenia w Krakowie i Polsce. Ta różnorodność treści czyni z *Diariusza* źródło, którym od lat interesują się historycy wielu specjalności.

Dzieło nie miało być drukowane, lecz pozostawać pod korcem, jako wewnętrzna lektura ówczesnych i przyszłych pokoleń jezuitów. Miało zachęcać dobrymi przykładami i odstręczać od powtarzania błędów. Ta moralizatorska nuta pobrząkuje jednak rzadko i na dalszym planie, wypełnionym głównie dzięki dokumentacyjnym pasjom Wielewickiego. Licząc się z oburzeniem osób, których czynów nie pochwalał, wystarał się on u prowincjała Andrzeja Gutterera o wpis do *Diariusza*, zawierający zakaz dokonywania w rękopisie jakichkolwiek poprawek i polecał przechowywanie go w całości. Podnosi to oczywiście walor źródła.

Nadzieje na wydanie polskiego przekładu całości edytor omawianego tomu ulokował, niestety zapewne słusznie, w sferze odległej przyszłości. W teraźniejszości zaś wielce zróżnicowany stan znajomości łaciny wśród historyków doznał wydatnego wsparcia ze strony wydawcy. Wolumen, zachowując graficzną formę poprzednich tomów, opatrzone ulokowanymi na marginesach regestami poszczególnych akapitów. Przypisy służą głównie identyfikacji wzmiankowanych w tekście person, z reguły poprzez wymienienie imienia i nazwiska, rzadko funkcji; tę bowiem wspomina często sam autor, dbały o tytułaturę, jak jemu współcześni.

Trudno byłoby wyobrazić sobie wprowadzenie w pełniejszy obieg historiografii zawartości tego źródła bez indeksów. Pierwszy z nich dotyczy osób, a ich określenie sytuuje je wśród świętych, papieży, biskupów, jezuitów, dobrodziejów itd. Przy niektórych jednak zabrakło jakiegokolwiek przypisania. Czy więc Piotra Borzykowskiego czy Jana Furmankowicza nie dało się w żaden sposób oznaczyć, mimo że każdy z nich występuje na 10 stronach? Podobnie jak Agnieszki Firlej

— wzmiankowanej 17 razy? Dlaczego wspomniany aż 18 razy Marcin Dobruchowski opatrzony został jedynie określeniem stanowym, *nobilis*, podczas gdy inni nazywani są według urzędów czy jako dobrodziejże klasztoru — *benefactor*, *benefactrix*? Zapewne i o Janie Mazurkiewiczzu, pojawiającym się w tekście aż 43 razy, dałoby się w indeksie powiedzieć coś bliższego niż *civis*.

Index locorum zestawia rozmaitej miary *loca*, głównie miejscowości, ich części i obiekty, oczywiście głównie w Krakowie — np. Akademia, ratusz, zamek, poszczególne klasztory, kolegia i kościoły. Częściej przywoływane, chociaż naturalnie znacznie rzadziej niż Kraków, miejscowości nie układają się bynajmniej ciasnym wianuszkim wokół wawelskiego grodu: Częstochowa, Gdańsk, Jarosław, Kalisz, Kijów, Lublin, Lwów, Moskwa, Poznań, Rzym, Sandomierz, Warszawa, Wiedeń, Wieliczka, Wilno.

Index rerum zawiera owych „rzeczy” mnogość wielką — od Academia po Xenodochium. A między tymi hasłami paradują kolejno rozmaite Acta, Arianie, bachanalia, bernardyni, breve, bulla Urbana VIII (będzie jej ktoś szukał pod „b”, nie pod „u”?), bractw kilka, *conversio* (nawrócenia heretyków). Hasło *Curia Romana* sąsiaduje, jak to w alfabecie, z demonami, zaś *dimissio*, czyli usunięcie z zakonu, wzmiankowane jest aż 37 razy.

Oczyszczanie szeregów było jednym ze sposobów dbania o poziom i prestiż każdego zakonu. Jezuita, ze względu na wysokość stawianych swym adeptom wymagań, bodaj częściej sięgali po taką sankcję. Sam Wielewicki zostawszy w 1613 r. rektorem kolegium w Jarosławiu doprowadził do odkrycia, a potem wydalenia z Towarzystwa autora wysyłanych do wpływowych osób niepodpisanych listów szkalujących zakon, Hieronima Zahorowskiego. Ten zemścił się na konfratrach puszczając w świat paszkwil *Monita secreta Societatis Jesu*, udający tajną instrukcję wewnętrzną. Falszyfikat ten miał świadczyć o światowładczych aspiracjach zakonu oraz o niecznych metodach osiągnięcia tego celu. Mnóstwo niechętnych jezuitom czy antyklerykałów, od XVII do XX w. wierzyło w autentyczność *Poufnych rad*, przedrukowywanych w całej Europie kilkadziesiąt razy.

Dziennik Wielewickiego przynosi informacje o mało znanym finale życia samego Zahorowskiego. Paszkwilant ów stał się na kilka lat przed śmiercią (†1634) adherentem Towarzystwa Jezusowego. Uznał swój błąd, jezuitów wychwalał i bronił przed napaściami, a jako ple-

ban w Kamionce utrzymywał kontakty z dawnymi konfratrami w pobliskim kolegium w Lublinie. Wspierał ich finansowo, przeznaczył dla nich swoją bibliotekę i został pochowany w ich kościele.

Spora gromadka liczb wskazujących strony towarzyszy też takim hasłom jak *excommunicatio*, *haeretici* i *schismatici*, co odzwierciedla oczywiście czas konfesyjnych napięć oraz ciągłość smętnej tradycji nadmiernego szafowania kłatwą. Rzucił ją np. w 1623 r. oficjał krakowski Jan Zerzyński na jezuitę Krzysztofa Angelusa za kazanie, którym poczuł się zniesławiony senat Akademii Krakowskiej. Wielewiczki uzyskał w nuncjaturze unieważnienie ekskomuniki. Spotkamy także stosowanie tej ostatecznej sankcji jako instrumentu nacisku na upartą stronę postępowania sądowego (np. na jezuitę) lub w roli środka odstrasżającego (np. od przeszkadzania zakonowi w prowadzeniu szkoły w Krakowie) albo wymuszającego (np. ujawnienie miejsca ukrywania się zabójcy przez tych, którzy je znają). Potrzebne opracowanie kwestii faktycznego funkcjonowania ekskomuniki, która zbanalizowała się wręcz wskutek nazbyt łatwego jej orzekania lub automatycznego w nią popadania (tzw. ekskomunika *latae sententiae*), a następnie dość łatwego zawieszania, znajdzie tedy parę interesujących przyczynków także i u Wielewickiego.

Kto interesuje się opisami uroczystości, nabożeństw, pogrzebów czy grobów nie znajdzie ich przy pomocy indeksu rzeczowego, chyba że szuka ich tylko w kościele św. Barbary lub przy pochówku konkretnej osoby (*index personarum*). W pozostałych przypadkach trzeba kartkować tomszcze. Jest to zresztą sposób i na parę innych tematów, jakich wszak żaden indeks rzeczowy nie jest w stanie objąć.

Do tematyki najlepiej udokumentowanej należy oczywiście aktywność samych jezuitów, a więc np. ich misje zagraniczne i parafialne, czy długotrwałe wysiłki przełamywania edukacyjnego monopolu Akademii w Krakowie, w których to zmaganiach obie strony nie zachowywały się wyłącznie budująco. Mnóstwo wzmianek o gościach i benefaktorach, o polemistach i pobożnych legatach ciągle są za mało wykorzystane w badaniu społecznego zaplecza oraz pozycji Towarzystwa w ówczesnej opinii publicznej.

W tłumie żywych i zmarłych wspomnianych przez Wielewickiego nie zabrakło też, zgodnie z zainteresowaniami jemu współczesnych, paru co aktywniejszych nieboszczyków. Zmarły w 1630 r. jezuita z poznańskiego kolegium ukazał się pewnemu uczniowi, którego dre-

czyły złe myśli, zalecając by zwrócił się o wstawiennictwo do św. Ignacego, który zresztą wraz ze Stanisławem Kostką towarzyszył zjawie. W wiedeńskim zaś domu Towarzystwa pod koniec 1633 r. jeden z braci, by uwolnić się od nachodzącej go mary, obiecał postarać się o odprawienie na jej rzecz 3 mszy, ale gdy ta pokazała mu się znowu w parę godzin, gdy udawał się na spoczynek, uwolnił się od jej widoku obietnicą 7 mszy. Gdy rano dowiedział się o wszystkim superior, zaraz odprawiono owe 7 mszy.

Za kilka tygodni zjawia, a potem dwie, zaczęła raz jeszcze nawiedzać jezuitę, znęcając się nad nim w różny sposób, z policzkowaniem włącznie. Wreszcie niezwykli przybysze się przedstawili precyzując swoje żądania: przed 134 laty dwu braci otruła własna matka, która cierpi za to straszne męki od 98 lat i 4 miesięcy. Bóg postanowił — że jej katusze skończą się wtedy, gdy odprawione za nią zostaną 13 mszy, a ubogim rozdane będą 34 monety, powiernik zaś tych wyznań powstrzyma się od jedzenia i picia przez 34 godziny. Po spełnieniu tego wszystkiego zakonnik zobaczył dwie białe gołębicę i jedną biało-czarną (wyobrażała matkę), która później też stała się biała. Wszystkie uleciały w niebo śpiewając *Regina coeli*.

Potem pojawiła się w jasności postać matki z obu synami, przepraszając jezuitę za wyrządzane mu przykrości i dziękując za pomoc w uzyskaniu zbawienia. Zjawy poinformowały go przy okazji, że jego zmarłe matka i macocha są w niebie, jemu zaś grozi nieszczęście, o którego oddalenie uratowani będą się modlić. Konfratry nie lekceważyli perypetii nawiedzanego. Ten z polecenia superiora wypisał na kartce znamienne intencje: polecał w nich wstawiennictwu owych dusz klasztor, miasto Wiedeń, postępy wiary katolickiej w Niemczech, cesarza i parę własnych spraw. Uwolniona od kary matka podjęła papier i poleciała go spalić. Gdy zakonnik otworzył okno, by zawołać na fur-tiana, dusze uleciały w niebo w postaci gołębic.

Przytoczywszy tę opowieść Wielewiczki uznał za potrzebne tłumaczyć się: uznał że warto ją zanotować, choć trudno wszystko w tych widzeniach wyjaśnić. To zawahanie się między krytycyzmem a łatwowiernością, pominięciem a przytoczeniem niesprawdzalnych wydarzeń, może symbolizować chybotliwe stanowisko kościelnych środowisk w ocenianiu kontaktów dusz pokutujących z żyjącymi. Gdy zabraknie krytycznej obecności reformacji na polskiej scenie, historii o ukazywaniu się dusz domagających się pomocy przebijając się będą

łatwiej na powierzchnię katolickiej świadomości. Wiara, niemal jak w średniowiecznych egzemplach, mieszać się tam będzie z orbitującymi wokół niej wierzeniami, nie do końca przystającymi do katechizmu. Wszak i przejęta przez Wielewickiego z listu od wiedeńskich współbraci opowieść zawiera elementy magiczne: oto Bóg uzależnia swe miłosierdzie od określonego kwantum mszy, jałmużny i postu; ofiary i sprawczyni czekają jednak na moment, gdy ktoś spełni te warunki, a upatrzonemu ich realizatorowi komunikują o nich w trybie mało chrześcijańskim, zastraszając go i turbując.

Należy się cieszyć, że do tych ostatnich metod nie uciekł się wobec edytorów duch samego Wielewickiego, czekając cierpliwie od ukazania się 1. tomu swego *Dziennika* na wydrukowanie ostatniego lat 118. Rozpoczęta w 1881 r. przez Józefa Szujskiego i Władysława Chotkowskiego edycja tego *pomnika piśmiennictwa historycznego* (J. Poplatek, Wstęp) dobiegła końca. Wdzięczność za to należy się wydawcom żywym i umarłym.